



Fragment „Nad Niemnem” Elizy Orzeszkowej dla klas III - IV

Narodowe Czytanie 2023

„Znajdowali się wśród piaszczystego rozłogu, którego część nie bez trudności już przebyli. Podobne to było do jeziora, z jednej strony ujętego w ciemne półkole boru, a z drugiej rozdzielonego z rzeką, zasłaniającym ją pasmem piaszczystych pagórków. Jak powierzchnia wody, tak piaski te pokryte były nieskończonymi łańcuchami zmarszczek, a choć z pozoru powietrze wydawało się nieruchome, unosiły się z nich tu i ówdzie niskie tumany i poziomym lotem przebywając małe przestrzenie, opadały na ziemię pyłem cichym i tak miłym, że prawie ziarnko od ziarnka rozróżnić w nim było można. Bór niechętnie jakby usuwając się w głąb widnokręgu, zostawiał za sobą szerokie pasy karłowatych, kolczastych, białością piasku przeświecających zarośli i za nimi dopiero powoli wzbijał się znowu w wysoką, ciemną ścianę. U stóp zarośli różowate wrzosy rozciągały daleko swe suche, smętne girlandy, a potem już od krańca do krańca tej pustki nie było nic prócz pomarszczonych, głębokich piasków i małych tumanów, które tu i ówdzie wzbijały się na płaszczyźnie lub na kształt znikomych dymów wytryskiwały i nikły nad okrągłymi, nagimi czołami pagórków. Ani drzewa, ani kwiatu, ani najdrobniejszego ziółka. Żadnego też dźwięku oprócz krakania wrony, która ciężko i wysoko wyleciała znad rzeki i w borze przepadła; żadnej barwy oprócz białości piasku i szarawej różowości wrzosów, żadnego ruchu oprócz sunących po niebie ciężkich, długich, mętną szarością nabrzmiątych obłoków; żadnej woni oprócz suchego i krtuszącego pyłu, który wydawał się oddechem tego miejsca.

— Dawno tu nie byłem — zaczął też takim głosem, jakim człowiek w progu świątyni przemawia. — Może pięć, może sześć lat nie byłem... Stryj woli na Mogiłę tąmą drogą chodzić, bo raz, jak przez te piaski szedł, twarzą wprost na ziemię upadł i z godzinę od płaczu ryczał...

— Czegóż tak płakał? — ze wzruszeniem, z którego przyczyn jeszcze sobie jasno sprawy nie zdawała, spytała Justyna.



— Bo długo chorym będąc, z chaty prawie nie wychodził i pierwszy raz wtedy po swoim wskrzeszeniu te miejsce zobaczył, przez które kiedyśiś z wielką kompanią jechał...

Zrozumiała i więcej nie zapytała o nic. Jan ciągle na wzgórze patrząc, sam mówił dalej:

— Dla mojej pamięci to miejsce jest bardzo ważne, bo ja tu, z tego pagórka, ostatni raz ojca swego widziałem...

Wskazujący palec ku jednemu z pagórków wyciągnął.

— Widzi pani, tam, ten trzeci od boru pagórek... Dniem i nocą, latem i zimą pusty on stoi i żadne nawet ziółko uczepić się go nie chce. A jednakowoż był kiedyś taki wieczór, że od góry do dołu zdeptały go ludzkie i końskie nogi i łez niemało na niego spadło...

— Pan to wszystko dobrze pamięta?

— A jakże! Pani i wiary dać nie może, jak pamiętam. Siedem lat podtenczas skończyłem, ósmy mi szedł, to może i nie dziwno, że pamiętam.

Uszli już byli kilkadziesiąt kroków naprzód; Jan znowu twarzą zwrócił się ku pagórkowi i stanął.

— Stąd Niemna nie widać — zaczął — ale my wtedy z tego pagórka dwie godziny albo może i trzy patrzali na rzekę, którą przepływały czółna i łodzie, z jednej strony i z drugiej ludzi przywożąc. Od brzegu do brzegu zaś szedł i powracał promek na łodziach, nieduży... Wszyscy przez te piaski przeszli, przejechali, i już ich widać nie było. Wieczór zrobił się majowy. Jak dziś pamiętam, że księżyc dobrze już posunął się do środka nieba i tkwił nad samymi piaskami. Cichość panowała na rzece, na brzegach, tylko w borze słowik śpiewał... Wtenczas ojciec pocałował matkę, cościś jej poszeptał, a potem mnie z ziemi na rękach swoich podniósł i całować zaczął. Wprzódy nigdy mnie tak nie całował, bo człowiekiem był więcej pochmurnym niżeli wesołym i częściej w milczącym zamyśleniu pogrążał się, niż okazywał to, co miał w sobie. Całkiem inaczej jak stryj Anzelm, który wesoły był, gadatliwy i cały na



wierzchu. Podobno też za tę pochurność i za te utapianie się w myślach tak nadmiar ojca mego polubił pan Andrzej. Ale wtenczas ociec dziecko swe żegnający w zamkniętości swej nie wytrzymał, cisnął mnie do siebie tak mocno, że aż bolało i mało nie tysiąc razy mnie pocałował. W tej samej minucie pan Andrzej żegnał się ze swoją żoną i ze swoim synkiem; stała też tam panna Marta, która w tę porę młoda jeszcze była, i kiedy troszkę wprzód stryja żegnała, święcony medalik jakiś na szyi mu powiesiła; stało i więcej ludzi różnych ze dworu i z okolicy, może wszystkich osób ze dwadzieścia. Nikt tam bardzo głośno nie mówił, ale wszyscy rozmawiali, i zrobił się z tego taki gwar, jak kiedy wiele razem rojów pszczół brzęczy. Do tego dwa konie osiodłane i pod pagórką tym stojące z niecierpliwości prychały, kopytami piasek grzebiąc. Kiedy mnie ociec całować przestał i z rąk na ziemię wypuścił, tego momentu już nie pamiętam, to tylko pamiętam, że zobaczyłem go jeszcze, jak obok pana Andrzeja przez te piaski jechał. Widać bardzo płakałem i za łzami wprzód zobaczyć go nie mogłem, bo wtenczas dopiero zobaczyłem, kiedy już znajdował się na połowie drogi pomiędzy pagórkami a borem. Księżyc tkwił wprost nad piaskami, a w jego światłości ociec i pan Andrzej jeden przy drugim na koniach równej piękności jechali. Jechali oni ani bardzo prędko, ani bardzo powoli, czapki ich karmazynowym kolorem świeciły, a konie pod nimi podnosiły się równo, równo, jak przy muzyce... Nie obejrzawszy się ani razu, piaski na ukos tędy przejechali i tam... widzi pani to miejsce, gdzie jodły mieszają się z sosnami, tam, w tym miejscu z oczu naszych znikli... Słowik w borze śpiewał...

Wyciągniętym ramieniem wskazywał punkt boru, ku któremu właśnie zbliżali się powoli. W miarę zbliżania się do lasu piasek twardniał pod ich stopami; szli teraz po szeroko rozpościerających się różowatych girlandach wrzosów. Milczeli chwilę.

— I więcej nigdy już pan ojca swego nie widział?

— Raz już tylko po tym ostatnim rozstaniu o nim usłyszałem. Pewno dobrze po świętym Janie, a może i około świętej Anny, bo zboże już na polu prawie dojrzewało i gdzieś tam żąć je zaczęli, stali my w okolicy, nad samym brzegiem, w tym miejscu, gdzie, pani wie, na naszym podwórku lipy rzędem rosną. Niedużo nas było, może osób kilka, bo inni ludzie na swoich podwórkach zgromadzali się i, tak samo jak my, kupkami stojąc, wszyscy ku stronie piasków obróceni, stuków i grzmotów



śluchali, co tam toczyły się i turkotały, to dłużej, to krócej, to prędko, to pomaleńku, jakby z całego nieba pioruny zebrały się i w te miejsce biły. Słowik już wtenczas nie śpiewał, tylko gdzieniegdzie podejmowały się znad boru chmury wszelakiego ptastwa i jak zwariowane, z przeraźliwymi krzykami latały nad borem, nad rzeką, na drugi brzeg uciekając albo też lecąc jak najdalej, zdaje się na oślep... Nad piaskami zaś ciągle grzmiało a grzmiało, i dopiero przed samym wieczorem grzmoty te zaczęły pomału ustawać, aż i zupełnie ustały, a za to po całym borze poniosły się wielkie ludzkie krzyki i zgiełki. Ja wtedy tak przeląknęłam się, że całego mnie trząść zaczęło i mocno uczepliłam się matki, która fartuch przy oczach trzymała i przed sąsiadkami, co do niej z szeptami przybiegły, po cichu lamentowała. Potem jednakowoż i krzyki zamilkły, noc nastąpiła, widać, że niebo chmury zaległy, bo zrobiło się bardzo ciemno. Ale pomimo nocy ludzie wciąż kupkami na swoich podwórkach stali albo siedzieli ku piaskom patrząc, a na miejsce tych ptasich wrzasków, które rozlegały się we dzień, po całej okolicy w ciemności nocnej rozeszły się szepty ludzkie, szumienie wiatru naśladujące. W tej cichości i w tym szumieniu posłyszeliśmy jednakże na przeciwnym brzegu rzeki wielkie pluśnięcie wody, a potem już ciche, ale ciągle jednostajne, jednostajne pluskanie. Ktoś do wody skoczył, płynął, rzekę przepłynął, i spod lip naszych widać było cień jakiś wstępujący pod górę to prędko, to pomału, aż ostatni raz skoczył i wprost przed nami stanął. Matka przeżegnała się, krzyknęła: „Anzelm!” — i zakręciła się na miejscu jak nieprzytomna. Ale stary Jakub, który jeszcze wtenczas niezupełnie był wariatem, wziął stryja za rękę, do chaty go zawiódł i światło rozniecił. Kupka też ludzi wcisnęła się do chaty. Mnie znowu trząść zaczęło, kiedy na stryja spojrzałam. Jezu drogi! Jak on wyglądał! Twarz miał czarną jak u Murzyna i tylko oczami wilczymi błyszczącą, odzież calutką w dziurach, rękę jedną opuszczoną i bezwładną, a z włosów i z odzienia woda mu potokami ciekła. Dyszał tak, że słowa wymówić nie mógł, i tylko kiedy niekiedy tak stękał, jakby w nim coś pękało. Ludzie koło niego szepotali, pytali, nawet go za rękę i odzież targali, on nic. Raptem na mnie spojrzał i łyż potokiem ściekły mu po uczernionej twarzy. Za kołnierz od koszuli mnie schwycił i tak nagle do siebie przysunął, że aż krzyknęłam ze strachu. A potem zaczął do mnie mówić. Z początku niewyraźnie mówił, że i zrozumieć nie mogłam, ale potem, nie wiem czemu, zrozumiałem, że on mnie każe do dworu korczyńskiego lecieć, do pana Benedykta, który teraz w domu siedzi, i powiedzieć jemu... „O, Jezu drogi... powiedz ty jemu, że pan Andrzej tu...” i na czoło sobie pokazał... „a twój



ociec tu..." i na piersi sobie pokazał. A potem jeszcze dołożył: „Obydwóch nie ma!” i spytał się mnie: „Zrozumiałeś?...” Zrozumiałem... Zrozumiałem tak dobrze, że do dziś dnia...

Do dziś to wspomnienie rwało mu głos w piersi, która kiedy indziej tak rozgłośnie pieśni na pola rzucała.

Oboje nie spostrzegli, że już znajdują się w lesie; nie widzieli dokoła siebie drzew, świateł i cieni; nie słyszeli szczebiotu ptastwa, który nad nimi rozlegał się coraz głośniej. On szedł z nisko pochyloną głową, w ziemię patrzył i o towarzyszcze swej całkiem w tej chwili zapominać się zdawał; ona, przeciwnie, ku niemu zwrócona, ani na chwilę nie spuszczała z twarzy jego swych szarych źrenic, które spod czarnych rzęs i brwi gorzały ciekawie i chmurnie.

— Żałość mnie wtenczas ogarnęła taka, że o strachu zapomniałem. Do dworu drogę znałem dobrze, ociec mnie tam z sobą brał i panna Marta często po mnie przysyłała. Niedługa droga. Do dworu tedy leciałem w ciemności i od płaczu zataczałem się, ale leciałem, aż do sieni wpadłem, gdzie lokaj stał i z początku puszczać mnie dalej nie chciał. Ale dziecko całe we łzach obaczywszy puścił. Ja przez salę stołową i drugi jakiś pokój do gabinetu pana Benedykta wleciałem i wprost przed jego nogami na ziemię padłszy, głośno zawyłem. On stał pomiędzy kominem, na którym ogień palił się, i biurkiem, którego szuflady wszystkie powysuwane były. Więcej ja cień jego na ścianie niż jego samego zobaczyłem i zdało się mnie, że na tym cieniu wszystkie włosy jakby rozrzucony snop zboża zjeżone stały. Nachylił się, poznał mnie i na nogi postawił. „A co?” — zapytał. Ja jemu tchu od płaczu nie mając tyle tylko: „Stryj powiedzieć kazał, że pan Andrzej tu...” i na czoło sobie pokazałem, „a mój ociec tu...” i na piersi sobie pokazałem. I dołożyłem jeszcze: „Obydwóch nie ma!” Tylko co zaś te dwa słowa wymówiłem, jak rozejdzie się po pokoju jakiś okrzyk okropny, ni to ludzki, ni to zwierzęcy, i wtenczas dopiero obaczyłem, że w kąteczku pokoju pani Andrzejowa jak martwa kłoda zwała się z kanapy czy z krzesła na ziemię. Zwała się i leżała z twarzą do sufitu obróconą i taką białą jak kreda, z oczami zamkniętymi. Pan Benedykt tylko obydwojma rękami za głowę złapał się, tasiemkę od dzwonka tak mocno targnął, że mu w rękę została, i jak tylko do pokoju panna Marta wbiegła, panią Andrzejową jej pokazał, a sam pędem wielkim z domu



wpadł i prosto do okolicy biegł. Ja też za nim biegłem, ale dopędzić go nie mogłem, bo już i zmęczony byłem... więc kiedy do chaty naszej wszedłem, pan Benedykt i stryj z sobą rozmawiali, a tego, co mówili, nie słyszałem. Jedno tylko to postyszałem, że pan Benedykt zapytał się: „A Dominik?” Stryj zaś znak taki około rąk i nóg zrobił, jakby je czym wiązał, i stał ciągle plecami do ściany przyparty, z jedną ręką bezwładną, a drugą sobie po uczernionej twarzy jakby w nieprzytomności wodząc. Nogi pod nim trzęsły się i z włosów jeszcze po kropelce, po kropelce woda ściekała. Pan Benedykt nie zapłakał i nic nie powiedział, tylko do okna poszedł i w nocne ciemności patrząc, kilka razy takim głosem, jak człowiek w momencie konania będący, imienia boskiego wezwał...

— Dziwne, straszne historie! — szepnęła Justyna.

Jan, jakby obecność jej w tej chwili sobie przypominając, nagle zwrócił się ku niej i długo patrzył na kilka łez, które jedna za drugą, cicho i powoli, spod rzęs spuszczonej staczały się na jej policzki. Przed siebie potem spojrzął i żywym ruchem ramienia jej dotknął:

— Niech pani stanie i popatrzy!

Stała i w tej chwili dopiero spostrzegła, że znajduje się w głębi boru. W tej chwili też po raz pierwszy do słuchu jej dostał się ogromny gwar ptastwa, który od początku lasu rósł, wzbierał, a tu wybuchnął niepodobnym do rozplatania chaosem dźwięków. Zarazem ogarnęły ją mocne wonie smoły, jałowcu, cząbrów, zmieszane z tym wilgotnym i cmentarzem przywodzącym na pamięć zapachem, który wydaje z siebie wiecznym cieniem osłonięta, białą pleśnią kwitnąca ziemia.

— Niech pani przed siebie patrzy — powtórzył Jan.

Jan w milczeniu pagórek ten Justynie ukazał, ona też milcząc skinęła głową; wiedziała, że to zbiorowa mogiła.

— Ilu? — z cicha zapytała.

— Czterdziestu — odpowiedział, głowę znowu odkrył i kroku przyśpieszył.



Suche, czarne szyszki pod stopami ich zatrzeszczały, kiciasty ogon uciekającej wiewiórki zaszeleścił w jodłach, kos gwizdał donośnie, trochę dalej szczygły zanosiły się od śpiewu, jeszcze dalej gruchały gołębie i tętniały we wszystkich stronach rytmiczne stukania żółn i dzięciołów, skądś z wielkim szelestem skrzydeł i przeraźliwym ćwierkaniem wzniosła się chmura czyżów i trznadli, krasnoskrzydła sójka mignęła błękitem i na gałęzi sosny usiadła; w powietrzu jak w kadzielnicy olbrzymiej, głuszone zapachem pleśni, kipiały wonie jadalowca, smoły i cząbrku, kiedy Jan i Justyna stanęli u Mogiły, na której gdzieniegdzie bujały proste i wysokie łodygi kampanuli, mające, zda się, tuż, tuż, przy najłżejszym powiewie, w delikatne liliowe dzwonki uderzyć. Jan z głową odkrytą u stóp Mogiły stojąc z wolna wymówił :

— Zupełnie jak w pieśni:

Chyba czarny kruk zakracze,

Czarna chmura dżdżem zapłacze...

Kwadransy upływały, godzina prawie minęła, a Justyna siedziała jeszcze na stoku Mogiły utopiona w myślach i uczuciach prawie zupełnie dla niej nowych.

Samotność i zapomnienie. Ileż wiosen, ile zim i jesieni przeminęło nad tym pagórkem wznoszącym się za jeziorem jałowych piasków, w zamkniętym kole starego boru! Ileż przez ten czas przeniosło się po świecie hucznych, tryumfalnych, wesołych szumów, których najłżejsze echo tu nie doleciało! Płynęły dni za dniami, lata za latami; kędyś, daleko, w wesołe pary łączyli się tancerze i zakochani; pracownicy z plonami w dłoniach wracali do ognisk domowych, wojownicy z chwałą na czołach nieśli zwycięskie sztandary, po cmentarzach płonęły pochodnie żałobnych parad i kwitły róże kochającymi dłońmi zasadzone. Tu, nad tym grobem, wiecznie było cicho i samotnie. Świat o nim nie wie nic i tylko niebieskie sklepienie zapala nad nim w pogodne noce gromnice gwiazd i lampę księżycy, a w dżdżyste i burzliwe rozciąga mokre całuny chmur i huczy potężnym, żalonym hymnem wichrów. Wiosny i lata grają mu rozgłośną muzyką ptasich śpiewów, a zimy kładąc po drzewach śniegi i szrony zmieniają je w marmurowe i kryształowe grobowce. Wtedy tu bywa zimno i pusto; blade słońce miriadami iskier haftuje śnieżne wystanie polany, a w kryształowych koronkach drzew przemienionych w grobowce czerwony gil niekiedy



zagwiżdże, sroka uderzy w żałobne skrzydła lub siwe wrony, te kumochy lasu, osiada na nich i ochryplymi głosy zagadają o plotkach ziemi... Zupełnie jak w starej pieśni:

Chyba czarny kruk zakracze,

Czarna chmura dżdżem zapłacze...

Chyba też ziemia i drzewa powieją cmentarnymi woniami jadłowcu i pleśni, a w letnie wieczory wysmukłe kampanule, tknięte powietrzną pieszczotą, uderzą w liliowe dzwonki na pacierz żałobny, który wyszepczą chyba niskie trawy...

W pobliżu osin o gładki pień sosny plecami oparty Jan stał z rękami na piersi skrzyżowanymi, roztargnionym wzrokiem po drzewach wodząc. Justyna z odległości kilkudziesięciu kroków widziała dokładnie profil jego twarzy i całą postać, wypukłe w słonecznej smudze odrzynającą się od tła lasu. Długo na niego patrzyła. Parę razy głowa jej zakołysała się jakby pod wpływem zdziwienia. Myślała może o niespodziance życia, która ją z tym człowiekiem niedawno nieznanym, dalekim zapoznała i tu z nim przywiodła. Potem we wpatrzonych w niego jej oczach zamigotały światła coraz żywsze i rozrzewniony uśmiech rozchylił wargi. Coś snuło się w jej myśli i grało w sercu, snuło się coraz prędzej, grało coraz głośniej, aż błyśnięcie rumieniec wypłynął na jej policzki, a czarne rzęsy nagle w dół opadły i zwilgotniały. Prędkim, prawie porywczym ruchem powstała i nie chcąc znać deptać Mogiły obchodziła ją dokoła, ku niemu idąc. Szła prędko i lekko; suche nieśmiertelniki i zeschnięte igły jodłowe szeleściły pod jej stopami. On szelest ten usłyszał, twarz ku polanie zwrócił, ramiona rozplótł i na spotkanie jej postąpił, ale zaledwie uczynił kroków parę, gdy ona przed nim stanęła i z pochylonym splecionym czołem, ze spuszczoną, wilgotną rzęsą podała mu obie ręce. Nie porywczym ani namiętym, owszem, miękkim i nieśmiałym ruchem wziął je w szerokie swe dłonie i nisko schylony przylgnął do nich gorącymi ustami. Gdy wyprostował się i ona podniosła powieki, oczy ich po raz pierwszy, odkąd się znali, utonęły w sobie długim, pełnym nieśmiałych żarów spojrzeniem, a potem z trudnością odwracając się od siebie, jednocześnie zwróciły się ku Mogile.

— Chodźmy — rękę pod ramię mu wsuwając rzekła Justyna.



— Chodźmy — powtórzył.

Skierowali się ku wyjściu z polany, a gdy szli jedno przy drugim, krokiem równym i jednostajnym, z twarzami trochę pochylonymi i mieniącymi się niemym wzruszeniem, można by mniemać — rzecz dziwna! — że w tym właśnie miejscu śmierci zdwojonym potokiem wezbrało w nich uczucie życia. Szli po przezroczystrych przestrzeniach lasu, przez smugi światła i cieniów, okrążając miejsca zbyt gęstą paprocią obrosłe, stąpając najczęściej po miękkich mchach, jeżących się gdzieś młodymi płonkami sosen i osin nakrapianych czerwonością brusznic lub granatową czarnością czernic. Kilka minut milczeli. Justyna parę razy podnosiła wzrok na towarzysza swego, jakby przemówić chciała, lecz wnet spuszczała powieki. Znać w niej było nieśmiałość, która w wyrazie jej twarzy zastąpiła dumę albo raczej hardą odporność, z jaką od dawna i najczęściej stawiała przed ludźmi. Zdawać się mogło, że zdjęła z siebie jakiś obronny puklerz, że porzuciła ją wszelka troska o ustrzeżenie swej ludzkiej albo kobiecej godności; że ufna i spokojna, nieśmiała tylko stała się wobec człowieka tego, który szczelnie w szerokiej piersi wzruszenia swe zamykając, z głębokim uszanowaniem wiódł ją przez miejsca bezludne; który, tak jak ona, kochając naturę, znał ją lepiej i zżył się z nią ściślej niż ona; który w ukrytych przed światem głębiach parowu i boru ukazywał jej przedwiekowe grobowce i zapomniane mogiły. Czyżby przez głowę przemknęła jej myśl, że był on od niej wielowzględnie wyższym? Jakkolwiek dziwną, może niepojętą myśl ta komukolwiek wydać by się mogła, powstała ona niezawodnie w głowie tej kobiety, która wiele prawd życia znalazła w gorzkich wodach bólu i obrazy, przed którą życie podniosło znad wielu zjawisk ułudne zasłony. Myśl ta niezawodnie w głowie jej powstać musiała, bo nieśmiało zrazu i urywanymi słowami, a potem coraz ufniej i żywiej mówić mu zaczęła o tym, co było największą męką jej życia i co najgłębiej uczuwała na widok powszednich nawet prac ludzkich; cóż dopiero w obliczu wielkich, spełnionych zadań i poświęceń, z których wspaniałymi widmami oko w oko spotkała się u grobowca Jana i Cecylii i na Mogile. Tę mękę już od lat kilku sprawiało jej uczucie zupełnej, rozpaczliwej bezużyteczności własnej.”